



Gdy przyszedł, zabawa już trwała i kolorowy tłum kłębił się pod Wieżą Wodną. Nie od razu zaczął tańczyć. Szukał partnerki dla siebie. Przechodząc obok ławek ujrzał piękną dziewczynę; widział ją wczoraj w Klubie Harcerskim. Poprosił. Po jednym tańcu podziękował — była ładna, ale wiedział, że nic z tego. Nie dla niego... Szukał więc dalej. Przedzierał się między „kółkami” tańczących, rozglądając się dokoła. Nie widział żadnej twarzy, która zrzucałaby mu się w oczy. Twarzy nie pięknej, ale ciekawej. Zatańczył z dziewczyną, która na gołym brzuchu i plecach wypisała „Miłość zwycięża śmierć”.

— To twoje hasło przypomina mi pewne łacińskie: „omnia vincit amor et nos celdamus amori” — powiedział.

— Nie wiem, co to znaczy? — usłyszał.

— Miłość wszystko zwycięża, więc i my ulegnijmy...

„Miłość” — uśmiechnął się. Uczył się czasem łacińskich powiedzonek i lubił się nimi popisować. Tańczyli.

☆

Przysła na ten bal z obozem. Nie bardzo wiedziała, w co się przebrać, więc poprzestała na białych spodniach i bluzce podwinętej na piersiach. Na brzuchu zaczęła sobie napisać „Miłość...”, a na placach „zwycięża śmierć”. Nie bardzo była pewna, czy tak jest naprawdę, i czy w ogóle ktoś taką myśl wypowiedział, ale brzmiało to niezłe. Na policzku wymalowała sobie kwiatek, włosy natapirowała... I tak nie było się po co wysilać. Przy takiej urodzie... Nie miała dużych szans. Zresztą, wszystko jedno, poszła się wytańczyć. Zdziwiła się, gdy ktoś z tyłu dotknął jej ręki.

— Zatańczysz? — Co było robić. Tańczył niezłe. Czula jego uścisk delikatny, ale stanowczy i dawała się prowadzić jego dłońmi. Powiedział coś na temat jej napisu, coś po łacinie. Nie znała tego, więc powtórzył po polsku. Nawet niegłupio to brzmiało. Spojrzała na niego gwałtownie unosząc głowę. Chciała, żeby wyglądało to na ruch taneczny, a nie, że specjalnie. Ale uśmiechnął się do niej jakby czekał na to spojrzenie, więc przedko opuściła głowę. Było jej trochę głupio, że tak ją rozszyfrował, ale tańczyła dalej. Muzyka się skończyła — nie podziękował i nie odchodził. Została więc.

☆

Przechwycił jej przelotne spojrzenie, gdy w tanecznym ruchu gwałtownie uniosła głowę. Ucieszył się — zrozumiał bowiem, że uchwycił pierwszy Znak. Od dawna wyznawał teorię Znak. Wiedział, że spośród wielu dziewcząt, które mu się podobały, najwyższej jednej na sto podobał się on. Podobał się tak, że była gotowa obdarzyć go uczuciem. Ta jej gotowość przejawiała się w czymś niesłychanie drobnym, w ulamkowym spojrzeniu, geście, uśmiechu i słowie... To był ten znak, na który trzeba było reagować błyskawicznie. Mógł przecież zniknąć bez śladu, mógł się już więcej nie pojawić. Wiedział, że tylko u dziewczyny, która dała mu taki znak, miał jakiegokolwiek szansę. Inne, choćby podobały mu się do szaleństwa, choćby starał się zdobyć ich serca jakimkolwiek sposobem, pozostawały niedostępne. Nie było znaku, nie było uczucia. Czekał więc na taki znak czasem długie miesiące, by znaleźć go w najmniej spodziewanych, najmniej sposobnych okolicznościach. Uśmiechnął się więc w odpowiedzi na jej spojrzenie i tańczył dalej. A kiedy muzyka ucichła, zobaczył, że nie podziękowała mu i nie uciekła, lecz stoi w oczekiwaniu na następny taniec z nim. Był to dla niego już drugi Znak.

☆

Przeszli na drugi „parkiet”, gdzie grał inny zespół. Obok nich przebiegła jakaś przebrana postać krzyżąc, że kto chce uzyskać ślub, niech idzie pod Wieżę Wodną. Zapytał: Bierzemy ślub — myśląc o szatańskiej ceremonii, jaka będzie temu towarzyszyć.

— Nie, za wcześniej — odpowiedziała.

— Istotnie za wcześniej. Zapytałby ktoś, czy chcę tę oto... i jak dalej? Nie wiedziałbym twojego imienia. Mirek jestem.

— Teresa.

— Bardzo mi miło — zrobił śmieszny ukłon. Tańczyli dalej. Człł pod palcami gładkość jej skóry, gibkość ciała. Na twarzy miał jej włosy. Tańczyli przytuleni, dobrze zgrani w ruchach. Dotyk jej dłoni na ramionach odczuwał jak pieczętę. Starał się zajrzeć jej w twarz, by uchwycić jakieś spojrzenie, jakiś uśmiech przeznaczony dla niego, chowała jednak głowę na jego piersi. Przytulał ją więc jeszcze mocniej, i czuł, jak chętnie poddaje się je-

go ramionom. Chciał coś powiedzieć, wyrazić jakoś to, co czuł. Nie potrafił jednak znaleźć odpowiednich słów. Wszystkie były zbyt wielkie, zbyt nadęte, by mogły być prawdziwe, w takiej chwili. Jak nazwać to, co zrodziło się w ciągu kilku chwil, w ciągu pół godziny tańca? Nie był to przecież zwykły taniec — banalne wyginanie się w rytm muzyki. Wiedział, że dzieje się tu coś znacznie ważniejszego, jakies zbliżanie się do siebie dwojga ludzi, dotychczas przecież zupełnie sobie obcych. Ogromną przyjemność sprawiało mu to przytulanie się doń dziewczyny, a źródłem tej przyjemności był nie tyle fizyczny kontakt, lecz świadomość, że ona robi to również z przyjemnością.

☆

Nie potrafiła zrozumieć, co się z nią działo. Nigdy dotąd nie czuła się podobnie, a przecież nie pierwszy raz tańczyła z chłopcem. Gdy w siódmej klasie kolega szkolny odprowadzając ją do domu nachylił się szybko nad nią i pocałował w policzek — uciekła przerażona i szczęśliwa zarazem. Chciała potem być jego „dziewczyną”, ale zaczął jej unikać, przestał się odzywać i uciekł na inną ławkę. Miała później chłopaka na obozie. Chodził za nią i popiswał się „intelektem” i sprawnością fizyczną. Gdy stała obok niego, obejmował ją ramieniem i rozglądał się dumnie, czy koledzy widzą. Nie sprawiało jej to przyjemności, ale każda miała jakiegoś chłopca, więc i ona... Nie całowała się z nim, choć prosił. Nie miała ochoty. Całowała się nieco później, już w liceum. Okazje zdarzały się dość często: prywatki, zabawy w „listonosza” itp. Kochała się wtedy bez nadziei w jednym takim z jedynastej klasy. Co wieczór przed zaśnięciem wyobrażała sobie, jak to spacerują trzymając się za ręce, jak się całują w parku, jak szepczą sobie wyznania. Wreszcie zdał maturę i wyjechał.

Trudno by było policzyć wszystkie znajomości, spotkania, flirty, jakie od tego czasu jej się zdarzały. Za każdym jednak razem ona panowała nad sytuacją. Chłopcy chodzili, jak ona im gra-

ła, robili co chcieli. Jeżeli pozwalała się im przytulać, czy całować robiła to jakby od niechcenia, ot, tak w nastroju chwili, bez zobowiązań na przyszłość.

I nagle stało się z nią coś, nad czym zupełnie straciła panowanie. Nie potrafiła zrozumieć. Jak to, kilka minut, zupełnie nieznanomy człowiek, o którym nie wie nic ponad imię, a przecież gotowa była pójść na każde jego skinięcie, spełnić każde życzenie. Nie było spacerów, rozmów, płomiennych wyznań, pocałunków, nic z tego, co wyobrażała sobie jako preludium tego uczucia, które ogarnęła ją miało dopiero po gruntownym poznaniu swojego chłopca, po miesiącach wypełnionych spotkaniami, marzeniami, listami i kwiatami. Jak to, nagle zjawia się ktoś i kpiąc sobie z drobiazgowo przez lata układanego planu, wyciąga z człowieka od razu to, co jest głęboko ukryte przed ludzką ciekawością, chowane na ten jeden raz w życiu, na tę okazję, która ma zapewnić szczęście aż do śmierci. Jak to możliwe, by to brutalne wtargnięcie w głąb duszy odbyło się tak, że samej chciałoby się tę duszę otworzyć na oścież, wyjąć to co jest najgłębiej i podać na tacy: „masz, weź, to wszystko twoje”.

Nie potrafiła pojąć tego wszystkiego, i bała się tego człowieka, który trzymając ją w ramionach wydierał jej najgłębsze tajemnice. Szukała więc oparcia, znajdując je w jego ramionach, na jego piersi. Trzymała go kurczowo, wtulała głowę w jego sweter, gdy odsuwał się na odległość ramion, by tańczyć jakiś szybszy rytm, przerażona przywierala do niego całym ciałem.

Najbardziej bała się, by jej w tej chwili nie opuścił, nie zostawił na pastwę własnych myśli. Gdy był blisko, czuła się bezpieczna. Powiedział przecież, że nie potrafiłby jej skrzywdzić. Wierzyła w to.

Zbliżała się siódma i musiały znaleźć swoją grupę, by razem pojechać na kolację. Zespół też przestał grać. Foszli więc w kierunku Wieży Wodnej. Widziała, że żał mu już kończyć, powlewała więc:

— Przecież się jeszcze spotkamy.

— Nic z tego. O dziewiątej mam pociąg.

☆

Miał jeszcze dwie godziny czasu. Pod Wieżą grał drugi zespół. Ludzie tańczyli. Przechadzał się między nimi wypatrując, choć wiedział, że już nie znajdzie dziewczyny, z którą będzie się mógł bawić. Takie historie nie zdarzają się dwa razy dziennie. Z jednej strony był szczęśliwy, że spotkał taką dziewczynę jak Teresa, z drugiej zaś wściekał się na los, który odbierał mu szczęście, zanim jeszcze zdążył się doń zbliżyć. Tak było zawsze, już od lat. Miesiącami trawił samotne dni, wypełnione jedynie marzeniami, aż nagle spostrzegł swój znak i wszystko od razu się odmieniło. Nagle okazywało się, że jest kochany i że sam kocha. Zawsze stawało się to nagle, tak jak i tym razem. Trwało to potem kilka dni, czasem tygodnie, raz tylko chodził z dziewczyną przez rok. A potem nagle się kończy. Najgorsze było to, że już w momencie poznania się, gdy odbierał swój znak, już wtedy wiedział, że to się musi skończyć. Wiedział nawet kiedy. A to zdawał maturo i wyjeżdżał, a to kończył się obóz... przeważnie wyjazdy i to bez perspektyw powrotu, spotkania...

A potem znowu miesiące samotności, wypełnione wspomnieniami szczęśliwych chwil i ma-

rzeniami o następnych. Dlatego też, gdy pojawiała się to coś, na co czekał, ten ślad uczucia, nie bronił się przed nim, nie zastanawiał się, że i tak wszystko przeminie, że dziewczyna niezbyt ładna, że to nie ma sensu... Tak zresztą było z pierwszą jego znajomością. Ile się przez to namęczył. Teraz po prostu poddawał się przeżyciom, starał się, by były jak najintensywniejsze. Wymyślił sobie nawet, że istnieje miłość jednej chwili. Miłość, która nie ma czasu przeszłego, a zwłaszcza przyszłego, lecz istnieje jedynie w momencie, gdy się ją przeżywa. Nie potrafił tego dokładnie wytłumaczyć — wiedział tylko, że w jego przypadku nie ma zastosowania tak rozpowszechniona w literaturze „miłość do grobowej deski”. Wierzył, że jeżeli jest właśnie z dziewczyną, z którą jest mu bardzo dobrze, o której wie, że duszą należy do niego, to jest właśnie miłość. Jego miłość jednej chwili. Wiedział, że wśród dorosłych ludzi takie coś nazywa się „przelotnym flirtem”, jednak on w takie „flirty” wkładał całą duszę, cały swój arsenał uczuć. Nie potrafił inaczej.

Próbował tańczyć z którąś z dziewcząt ze swego obozu. Nie umywały się jednak do Teresy, mimo że były ładniejsze. Minęło jakieś pół godziny i nagle w tłumie dojrzał roztrzepane włosy i nagie plecy z napisem „Miłość zwycięży śmierć”. Poszedł w tamtą stronę. Nie, to nie była Teresa.

MIROSLAW BOCIAN członek KMA



Rys. W. Lewiński